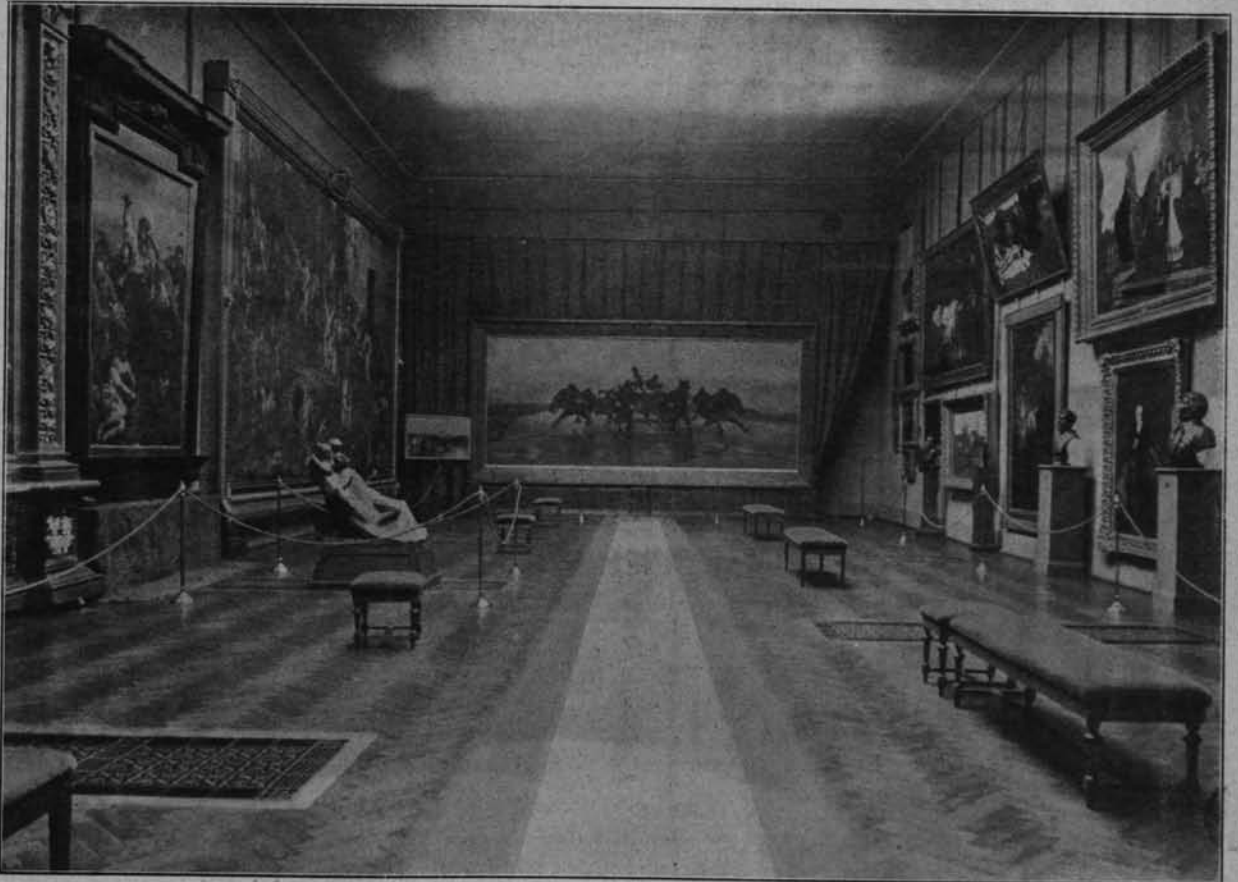




Do art. „MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE“.



WNĘTRZE MUZEUM. SALA MATEJKOWSKA.



Roślina w krajobrazie. 1)

Do naukowej analizy krajobrazu powołane być muszą te nauki przyrodnicze, które wyjaśnić mają tak ogólną genezę rzeźby geologicznej, stanowiącej główne podścielisko, tło ogólne każdej miejscowości, jak i szczegóły wykończenia, jego cienie i półcienie.

Pierwsze zadanie przypada w udziale geologii historycznej i dynamicznej, morfologii geograficznej, drugie zaś — przede wszystkim florystyce.

Roślinność naturalna i ręką ludzką zasadzona nadaje koloryt krajobrazowi, który pełni życia tchnie tam przede wszystkim, gdzie jest pełnia i różnorodność postaci roślinnych. I nie trzeba być wyspecjalizowanym florystą po to, by widzieć lub przynajmniej odczuwać, że inaczej przemawia do nas krajobraz ciemnych, iglastych lasów, inaczej zaś — jasnej wesołej dąbrowy, a jeszcze inaczej — krajobraz rozległych obszarów trawiastych stepów.

Składają się na to indywidualne cechy gatunkowe drzewostanów lub zbiorowisk zielnych, tak typowych dla zespołu każdego florystycznego gatunku, który wyłącznością lub przewagą swoją w granicach obserwowanego widnokregu narzuca obserwatorowi swoje specjalne piękno, swój odrębny charakter.

A wszystko to stąd, że roślina ma również swoją *fizyognomię*, przytem fizygnomię dwojaką, — gatunkową, tę dziedziczną, wspólną wszystkim świerkom lub wszystkim dębom z jednej strony, i indywidualną, wyróżniającą dany świerk lub dany dąb z pośród całej rzeszy, całego lasu drzew tego samego gatunku. Analiza anatomiczna rośliny, jako czynnika krajobrazu, uwydatnić mająca i wyjaśnić oblicze poszczególnych postaci gatunkowych — zbyt dalekoby nas zaprowadziła, zniewalając do zagłębiania się w teorię o pochodzeniu gatunków wogóle i każdego rozważanego gatunku — oddzielnie.

To też nie dotykając wcale genezy fizygnomii gatunkowej naszych ważniejszych drzew, występujących wśród krajobrazów polskich zbiorowiskowo lub pojedynczo, rozważyć tu zamierzam czynniki naturalne, urabiające ich fizygnomię indywidualną, nie pretendując oczywiście do wszechstronnego wyczerpania tematu.

Przedewszystkiem nie należy mieszać pojęcia o obliczu indywidualnem rośliny z pojęciem odmiany botanicznej.

Pod *odmianą* bowiem rozumiemy określone, chociaż w przyczynach działających przeważnie niewyjaśnione modyfikacje cech gatunkowych, przenikających niekiedy bardzo głęboko cały organizm, dziedziczonych przynajmniej wśród pewnej części potomków. Cechy zaś fizygnomii osobniczej, w naszym pojmowaniu, nie dziedziczą się wcale, stanowiąc istotny nabytek osobniczy, jako wynik osobniczego przystosowania się do otaczających warunków zewnętrznych.

Pełny sił życiowych organizm roślinny zdolny jest ze zmianą warunków zmieniać swą fizygnomię osobniczą już jeżeli nie z dnia na dzień, to w każdym razie od jednego okresu wegetacyjnego — do drugiego.

I im roślina — drzewo — jest starsza, a jego dzieje życiowe bardziej w wybitne epizody obfitujące, tem wybitniej, wyraziściej ukształtować się może jej fizygnomia osobnicza.

Zauważyć przy tem należy, że nasze drzewa i krzewy krajowe dzikie wykazują bardzo nieznaczna skłonność do wytwarzania odmian (*varietas*), w jakie obfitują gatunki, pozostające pod wpływem hodowli ludzkiej.

Niekiedy zresztą pojęcie odmiany zbliża się bardzo, niemal styka się, z pojęciem cechy osobniczej, a to wtedy mianowicie, kiedy chodzi o zboczenia od normalnego typu gatunkowego pod względem krzewienia się, rozgałęziania się pnia, co szczególnie często obserwowano wśród odmian z jednej strony, i niezwykle indywidualizmów niektórych drzew *iglastych*, sztucznie w parkach hodowanych — z drugiej. Również i „postacie piramidalne” niektórych naszych drzew *liściastych* mogą być dziedziczne, właściwe im jako pewnym odmianom, jak również mogą powstawać indywidualnie — skutkiem obgryzania ich za młodu przez bydło lub zwierzyne.

Niezbędnym warunkiem bytu dla każdego drzewa jest pewna ilość światła, ciepła i wilgoci. Czynniki te, jak również pewne własności gleby, wpływają decydująco na roz-



powszechnienie poszczególnych gatunków drzewnych.

Gdzie okoliczności złożyły się pomyślnie, i roślina rozporządza pewnym optimum tych czynników, tam wyrosnąć może osobnik o postaci najbardziej „doskonałej”.

Poza tem jednak występują pospolicie jeszcze niektóre uboczne wpływy, które tę doskonałość, typowość oblicza mogą spacyć; wpływy te bywają następujące: *wiatr*, szczególnie połączony z suchością powietrza, działalność otaczającego świata organicznego, a więc sąsiadująca *roślinność* — *świat* zwierzęcy, a wreszcie — *człowiek*, występujący tu jako czynnik nieświadomy, bezwiedny.

Te to właśnie czynniki, stwarzając w życiu rozpatrywanego osobnika roślinnego poszczególne „epizody“, wpływają nań dorywczo lub przez dłuższy okres czasu, pojedynczo lub też w różnych kombinacjach, i urabiają w ostatecznym wyniku to, co zwiemy obliczem indywidualnem rośliny.

Zadaniem naszym będzie oblicze to zanalizować i ustalić pewne określone typy postaciowe, stwarzane przez wpływy poszczególnych czynników, działających oddzielnie.

Wśród największej monotonii, wolne od wszelkich wybitniejszych epizodów lub wpływów silniejszych, wiodą swój żywot te drzewa, które przez całe swe życie pozostają wśród zamkniętej gęstwiny leśnej. W gęstwinach takich wybitnych indywidualności drzewnych nie szukajmy — tam występuje tylko ogólna, monotonna postać gatunkowa.

Składniki wysokopiennego lasu posiadają swoiste, wybitne piętno, lecz piękna tego nie możemy uważać za fizyognomię indywidualną, gdyż właściwe ono jest *wszystkim* niemal osobnikom, jak jednakowe być muszą mundury wszystkich jednego pułku żołnierzy. Zjawisko to tem jest wybitniejsze i charakterystyczniejsze, im bardziej jednorodny jest drzewostan; w lasach mieszanych oczywiście monotonia się zmniejsza, cechy indywidualne drzew poszczególnych występują wybitniej. Zjawisko to da się z łatwością wytłomaczyć, jeżeli uprzytomnimy sobie, że wśród gęstwiny jednakowo światła pożądających i o zdobycie tego czynnika ożywczego walczących młodych pędów wytwarza się rodzaj wyścigów, walka o światło z sąsiadującymi bezpośrednio osobnikami, — wyni-

kiem zaś tej walki jest szybki wzrost ku górze w kierunku najsilniejszego światła.

Gałęzie dolne przy tak szybkim wzroście pędów górnych w miarę utraty światła bardzo prędko giną, schną, odłamują się i odpadają, utrzymują się te tylko, które nie okryte zostały cieniem.

Jak źdźbła wysmukłe wygladzają się pnie mknącego tym sposobem z roku na rok ku górze lasu sosnowego lub dębowego, zachowując od dołu aż do korony prawie jednakową średnicę, ponieważ utrzymujące się przy życiu gałęzie górne obficie żywią bezpośrednio do nich przylegające okolice, niż części pnia dolne. Wyższe, młodsze części pnia zrównać się bowiem mogą z łatwością pod względem grubości z okolicami dolnymi, które jako starsze, wcześniej utraciły gałęzie i przyrost mają bardzo nieznaczny.

Korona drzew takich jest zwykle gęsta lecz mała, gdyż do swobodnego silniejszego wzrostu nie dopuszczają także korony bezpośrednio tuż obok stojących sąsiadów.

I jeżeli może być mowa o jakich cechach indywidualnych drzew poszczególnych takiego gęstego, wysokopiennego lasu — to chyba tylko o spotykanej niekiedy wyróżniającej się grubości pewnych osobników.

Jak miotły lub pędzle z rozwichrzoną na końcach kiścią stoją takie osobniki o wysmukłych, gładkich pniach, zabezpieczone otaczającą je gęstwiną od wszelkich wybitniejszych wpływów wiatru; smutnie kiwają one swymi szczupłymi czubami, skoro jako nasienniki o: zczędzi je siekiera na porębie. Stojąc pojedynczo — mają wygląd wyjętej z większej całości części — i w tej samotności dopiero nabierają jakiegoś indywidualnego oblicza.

Pozostawione gdzieniegdzie na miejscu wyciętego lasu „matki” takie niewiele są w stanie zmienić swój wysokopienny typ; — zbyt są zwykle stare, by nawet po dłuższym przeciągu czasu zmienić mogły w wyrazistszy sposób swą sztywność szeregowca, bijącą z pnia, anemię i niedorozwój korony.

Oblicze indywidualne osiągają natomiast w całej pełni drzewa, rosnące od wczesnej młodości w pojedynkę, na takiej przynajmniej odległości od większych zbiorowisk leśnych, która zapewnia bodajby pełnię świa-



tła słonecznego, bez wszelkich przeszkód dochodzącego od wierzchołka do samych stóp drzewa.

Samotniki takie mają wzrost bardziej umiarkowany, ponieważ obfite światło wpływa na wzrost hamująco, pnie zaś nie tylko krótsze lecz i bardziej stożkowate, niż to zaobserwować można na okazach gęstwinowych; korony bujniejsze, okazalsze, we wszystkich kierunkach rozwinięte, wszystkie bowiem gałęzie, mając jednakowe warunki świetlne do pomysłnego rozwoju, krzewią się obficie i tworzą prawidłową, niemal wybitnie półkulistą lub parasolowatą postać.

Drzewa samotne wystawione są z drugiej strony na bezpośredni wpływ wszelkich czynników zewnętrznych i to w ciągu całego życia, od wczesnej młodości aż do śmierci; to też nic dziwnego, że wśród nich spotykamy

okazy o najwybitniejszych rysach fizyognomicznych, wyróżniających się swą niezwykłością; z pośród takich samotników rekrutuje się olbrzymia większość osobliwości florystycznych. Z nimi też w tym miejscu wypada nam się bliżej zaznajomić, tem bardziej, że one to właśnie odgrywają najważniejszą rolę pod względem krajobrazowym, zwłaszcza w okolicach bezleśnych lub tam, gdzie lasy zostały przerzedzone. Pod tym względem na szczególną uwagę zasługują u nas: sosny, dęby, lipy, jesiony, grusze, wiązy; w mniejszym zaś stopniu: olsze, brzozy, topole i wierzby, które przeważnie znaczniejszych zamkniętych zbiorowisk u nas nie tworzą, i jako okazy samotne, niewiele różnią się od egzemplarzy leśnych.

(C D N.)

K. Kulwieć.



Z podróży na Pomorze. 8)



PORT W SZCZECINIE.

Dr. A. Albrecht podaje, że Mönchigut zwal się w dawnych czasach Reddewitz. Była to więc ziemia Radowiców czyli Radowicka. Odrębność tej ziemi i ludu ją zamieszkującego zdaje się w części pochodzić stąd, iż istniało tu za czasów samoistności wyspy oddzielne księstwo, powstałe z działów w rodzie książąt panujących, potomków starych królów rujniańskich. Ziemia ta była odwieczną własnością książąt Putbus czyli Podborskich, którzy tę nazwę rodową przyjęli od posiadłości ziemskich Putbus (Podborze),

gdzie byli panami. Rodzina tych książąt pochodzi w prostej linii od słowiańskich królów wyspy Rujny, mianowicie od Stowisława († 1140), który za czasów ostatniego króla rujniańskiego, Teclawa, jako jego brat przyrodni był działowym księciem udziałnym na Podborzu i Radowicach.

Kwitł też tu kult starych bogów słowiańskich, czego ślady utrzymały się dotychczas. Na rogu ziemi radowickiej, wysuniętym najbardziej na wschód, gdzie zarosłe wydmy spodają w morze, stoi w morzu tem potężna

bryła granitowa niedaleko brzegu, którą rybacy z dawnych czasów zowią „Buskahm”, co Barthold tłumaczy na „boski kamień”, czyli uważa go za kamień poświęcony bogom.

Ślady słowiańskie zachowały się jeszcze na Heddensee czyli wyspie Gutoszy.¹⁾ Po-

¹⁾ Nazwa pochodzi ze starsłowiańskiego gati, czeskie hati—grobla, tama wody; słoweńskie gat—kanal, rów; dolno-lużyckie: gut—staw, i z tego osobowe Gotosz, Gotosza. Położenie wyspy potwierdza ten wywód.



daje o tem wiadomość dr. Albrecht. Wyspa ta leży na zachodniej stronie archipelagu rujniańskiego, w prostej linii od Strzałowa (Stralsund). Istnieje tu piękne podanie ludowe o powstaniu wyspy. Dawniej podług tego podania stanowiła wyspa część lądu rujniańskiego, od którego odłączona została w następujący sposób. Było to pewnego burzliwego wieczoru w listopadzie, gdy zimny wiatr północno-zachodni dął szalenie i szumił w lasach dębowych, łamiąc opadłe z liści gałęzie drzew. Srożąca się burza dotknęła najbardziej małe rybackie chaty, leżące na północno-zachodniej kończyźnie półwyspu. Wicher byłby niezawodnie pozrywał dachy nędznych chat, ulepionych z gliny a słomą poszytych, gdyby strzech nie przywalały ciężkie kamienie. Jedna tylko chata, oddalona od innych, a położona całkiem już na moczarach, znajdowała się w lepszym stanie. Była ona własnością samotnie żyjącej wdowy, matki Gutoszy, żyjącej w zupełnym odosobnieniu, bez żadnej styczności z sąsiadami a za towarzystwo mającej chyba tylko swą krowę. Gutosza była zamożna. W skrzyniach pełno było u niej złota i srebra, klejnotów, płótna i drogich kamieni, pochodzących od jej męża Gutosza, który był kierownikiem okrętów, tak zwanym „rotmanem”. Ukrywała skarby swe skrzętnie przed okiem ludzkim: nikt ich ani widział, ani też miał z nich cokolwiek. Syna swego, który pojął za żonę ubogą dziewczynę z pobliskiej wioski, oddepchnęła od siebie i nigdy go więcej do siebie nie dopuściła. Siedziała właśnie przy ponurym ogniu smogorzowym na ławie przed piecem, gdy wtem ktoś zapukał do drzwi jej chaty. Z początku udawała, że nie słyszy, lecz gdy pukanie nie



RUJNA OD STRONY MORZA.

z beczelnymi żebrakami. Ubogi starzec musiał z trudem iść dalej do wsi wśród szalejącej burzy. Zakolatał on znowu do drzwi pewnej ubogiej chatki, ostatniej na krańcu osady. I tu siedziała przy lichu tlejącym ogniu smogorzowym niewiasta, podczas gdy półnagie jej, zziębnięte dzieci spały zwinęte w kłębek na kupie starych gałganów w kącie chaty. Czuwała ona nad nimi, naprawiając mozolnie starą rybacką sieć, gdyż byli bardzo ubodzy i nie mogli sobie kupić nowej, chociaż ich świekra Gutosza opływała w bogactwa.

Niewiasta wpuściła do izby biednego pątnika i, mając sama bardzo mało, dała mu prócz przytulku kawałek chleba tylko, robiąc tem uszczerbek swej rodzinie. Ubogi przyjął go z radością. Dała mu jeszcze ciepłego barszczu, a przy piecu usłała mu legowisko. Zmęczony starzec położył się i spał smacznie, ona zaś latała dalej, czekając na przybycie męża, który wyjechał łodzią na morze, by ułowić ryb dla zgłodniałych dzieci. Była przytem strwożona wielce zgnębiona, gdyż morze wskutek wichru



STROJE LUDOWE ZIEMI RADOWICKIEJ.

ustawało, uchyliła drzwi, patrząc, kto to taki. Przed drzwiami stał ubogi pątnik, obdarty, zziębły i wygłodniały, który prosił ją pokornie, by mu dała nocleg i odrobinę strawy. Lecz ona zatrzaśła mu drzwi przed nosem, krzycząc, iż chleba, jaki ma, potrzebuje dla siebie samej i nie może go dzielić

było wzburzone, a mężowi groziło niebezpieczeństwo. Przesiedziała tak całą noc, a gdy ze świtem starzec powstał z łoża, męża nie było jeszcze w domu. Staruszek pocieszał ją jednak, dodawał odwagi, iż niema się czego obawiać, gdyż mężowi nic się nie stało, i niebawem wróci do



KREDOWE BRZEGI RUJNY

domu z rybami dla dzieci. Zapewne musiał on z powodu burzy szukać także u dobrych ludzi schronienia. Odchodząc, starzec rzekł jej na pożegnanie: „Dajcie pozor, dobra białko; robota, jaką dziś rozpoczniecie, uda wam się przez cały dzień”. Potem znikł. Dzieci jeszcze spały, a białka, postawiwszy skąpe ich śniadanie na piecu, wzięła się znowu do pracy, dobywając ze skrzyni kawałek płótna, by z niego przykroić koszulicę dla najmniejszego dziecka. Wzięła łokieć i mierzy, mierzy i wciąż mierzy, gdyż płótno jakby nie miało końca. Im więcej mierzyła, tem więcej pozostawało do mierzenia. Już dzieci pobudziły się ze snu, a ona wciąż jeszcze mierzyła płótno. Stołki i ławki były już pełne najpiękniejszego bielutkiego płótna; potem napełniła się nim cała izba, a zawsze jeszcze nie było końca. Mierzyła więc dalej. W chacie nie było już miejsca, więc mierzyła na podwórzu, a gdy i to napełniło się płótnem, na ulicy, potem na polu aż do samego wieczora, dopokąd mąż nie powrócił. Całe góry płótna wznosiły się w około, wyższe aniżeli szczyt chaty. Gdy się nazajutrz sąsiedzi dowiedzieli, jakie błogosławieństwo przyniósł obcy starzec do biednej, chaty zaczęli zbiegać się ze wszech stron i rozkupywali płótno. Napłynęło dużo pieniędzy, biedni stali się bogaczami.

Gdy wdowa Gutosza dowiedziała się o tem, robiła sama sobie najcięższe wyrzuty, dlaczego nie postąpiła z pątnikiem tak samo, jak jej synowa. Byłby on i ją obdarzył tem bogactwem. Nie miała od-tąd spokoju, więc postanowiła szukać starca w całej okolicy, by go przebłagać i zaprosić do siebie w gościnę. Szukała go długo napróżno, lecz w końcu przecież znalazła. Usprawiedliwiała się przed nim, jak mogła, mówiąc, że była wczoraj rozdrażniona i miała okropny ból głowy, że potrzebowała więc spokoju. Starzec na pozór przyjął jej uniewinnienie i obiecał niebawem powrócić do niej. Jakoż za dni kilka przybył rzeczywiście. Nie posiadała się z radości, a była dla niego nadzwyczaj gościnna i uprzejma. Częstowała go, czem tylko mogła, i usłała mu postanie we własnym swoim łóżku, sama kładąc się na podłogę. Rano pożegnał ją pątnik tem samym przyrzeczeniem, co synową. Nadzwyczaj uszczęśliwiona, iż przecie dopięła celu, postanowiła co prędzej wziąć się do takiej roboty, z którejby mogła mieć największy pożytek, więc zaczęła dobywać ze skrzyni worek ze złotem, by je liczyć,— wtem słyszy przeraźliwe ryczenie swej krowy. Zajęta pątnikiem wczoraj wieczór zapomniała nakarmić i napoić krowę. Jakaś siła oderwała ją od skrzyni, porwie wiadro, biegnie do studni i czerpie niem wodę, by copędzej napoić spragnioną biedną krowę. To było nieszczęście. Czerpie i jeszcze czerpie i czerpie bez końca, a woda leje się i leje, zatapiając wszystko wokół, tworzy staw, potem jezioro, potem zatapia szerokie ziemie i łączy się z morzem, odrywając pół-wyspę od Rujny i tworząc z niego osobną wyspę. Bogactwo jej utonęło w wodzie, ona sama już tonęła, lecz rybacy uratowali starej życie i przewieźli ją do syna, który przebaczył jej i zatrzymał ją u siebie do samej śmierci.

Podług innej wersji, zalew wodny nie nastąpił ze studni, lecz zupełnie inaczej. Zanim Gutosza dobyła worek ze złotem, przyparło ją strasznie, więc wyszła i przycupła na ziemi, by zadośćuczynić owej naturalnej potrzebie. Tak pozostała do zachodu słońca, aż skutkiem tego nastąpił zalew, który utworzył wyspę.

Dzieje wyspy Rujny, pełne sławy i blasku z czasów, gdy była wolna i niepodległa, giną niestety w znacznej części w pomroce tak zwanej przeddziejowej. Jak brylanty lśnią one tylko okruszynami ze słabych zapisków kronikarskich, więcej zaś z podań i sag skandynawskich. Upadek Swantowita i grodu arkońskiego rozpoczyna dopiero to, co Niemcy zowią dziejami Rujny, a co właściwie jest jej upadkiem i zawiera, ściśle rzecz biorąc, tylko dzieje jej germanizacji.

Na wyspie wznoszą się potężne groby: w a ł y



grodowe. Zdumiewają one swoimi olbrzymimi rozmiarami. Zda się, że je wznosiła ręka cyklopów. Zaborczość niemiecka usiłowała za pomocą swoich uczonych zabrać słowianom nawet te pomniki ich sławy minionej, twierdząc, iż wały grodowe są dziełem jakiejś germańskiej praludności krajów nadbałtyckich. Spór w tej sprawie nabral tyle rozgłosu, iż rząd pruski postanowił zbadać rzecz przez starożytników - rzeczoznawców. Jakoż prezydent rządowy w Strzałowie, hr. Krassow, zaprosił w r. 1868 znakomitego dziejopisa i starożytnika meklenburskiego, Lisha, by wspólnie z uczonym, pomorskim Quantem, i delegatem rządu duńskiego, starożytnikiem Worsanlem, zajął się zbadaniem pochodzenia ruinańskich wałów grodowych około Korenicy, na Rajngardzie, koło Buńczyc, Arkony, Stopania i t. d. Komisya ta starożytnicza stwierdziła jednogłośnie na podstawie najsumienniejszego zbadania słowiańskie pochodzenie tych wałów.

Wały koło Korenicy (Garz) sterczą na południowej stronie tej miejscowości, jak potężna twierdza ziemna. Ongi znajdowała się tu świątynia pomorska i zamek. Wał ma postać jajkowaną z kierunkiem długości od południa na północ, w obwodzie ma 850 kroków, wysokości zaś 50 stóp. Na wierzchu przestrzeń jego zajmuje więcej niż 8 morgów. Z wału prowadziła droga przez moczary do grodu. Wały na Rajngardzie, akropolu wyspy, koło miasta Góry (Bergen), przedstawiają się jako potężny stożek z dwoma tarasami. Wały koło Buńczyc posiadają spory obwód i tworzą podługowaty, nieco zaokrąglony czworobok. Wały bekonskie posiadają kształt łuku, lekko wygiętego ku zachodowi. Mają długości 840 stóp. Świątynia znajdowała się wewnątrz grodu. Od bramy prowadzącej przez wał do grodu wznosił się jeszcze drugi wał poboczny, ciągnący się dość długo, z którego dziś mało co pozostało. Widać tylko na miejscu, gdzie stał, wzniesienie ziemi. Wały koło Stopania na półwyspie Jasmodzie, przewane przez fantastycznych szowinistów niemieckich „Herthaburg”, uznała rzeczona komisya starożytnicza jako rdzennie słowiańskie, z dodatkiem ironicznym co do tej ostatniej nazwy, iż „sława Herty jest tu jeszcze bardzo młoda“... Półwysp wznosi się znacznie w gó-

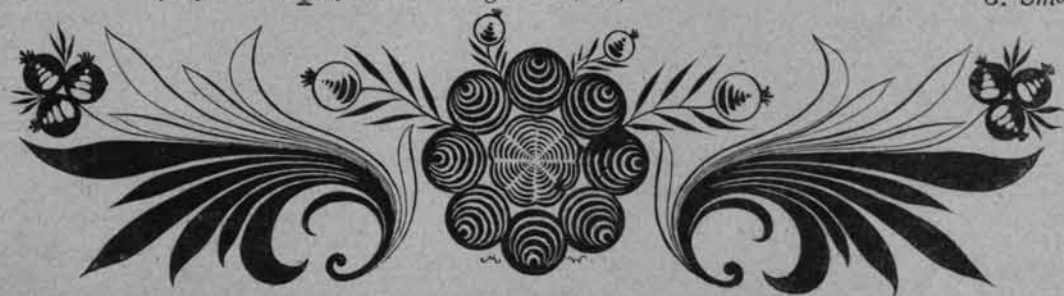


KREDOWE BRZEGI RUJNY.

rę od zachodu ku wchodowi, spadając stromymi brzegami kredowymi śnieżnej białości, a wybrzeże ciągnie się od Chotlewic (Quotlitz) do Sońnic (Sassenit). W lesie znajduje się tu małe jezioro, przy którym ciągnie się potężny wał. Mieszkańcy zowią go „Burgwall”, nie Herthaburg, zaś jezioro zowią „czarnem” (Schwarzsee), nie wiedząc nic o Herthasee, co, jedno i drugie, jest tylko czczym wynalazkiem fantastów niemieckich. Wały wznoszą się na wysokości ponad morzem 500 stóp i są podługowatym czworobokiem o obwodzie 500 kroków, a z wyjątkiem przestrzeni dotykającej jeziora obwiedzione są nasypem ziemi wysokości 200 stóp. Wewnętrzny plac grodowy przedstawia się jako wzgórze spłaszczone na wierzchu, 100 kroków długie a 40 szerokie.

(CDN)

G. Smólski.





ZBIORY POLSKIE.

II. Muzeum Narodowe w Krakowie. 1)

W opisie zbiorów polskich słusznie jedno z pierwszych miejsc należy się Muzeum Narodowemu w Krakowie, nie dlatego, że nosi tak dostojny i zasłużony tytuł, nie dla tradycji, jaką już ma poza sobą, nie dla wielkości nawet i ilości przedmiotów, których liczba wzrasta bez przerwy, ale dlatego, że jest to instytucja tętniąca życiem, ruchem, z wytkniętym na teraz i na przyszłość planem, z rozkładem przedmiotów konsekwentnym i naukowym, prowadzona z ładem i porządkiem zewnętrznym i wewnętrznym. To też w ostatnich czasach Muzeum Narodowe, zwiedzane przez kilku znanych i znakomych dyrektorów muzeów zagranicznych, zyskało szczerze uznanie w ogłoszonych przez nich krótkich lecz pochlebnych sprawozdaniach. Oczywiście, Europę zatrzymały się na Muzeum Narodowym i wciągnęły je tym sposobem w poczet godnych uwagi muzeów w krajach mających wysoką kulturę i cywilizację.

Myśl założenia Muzeum Narodowego, kielkująca u kilku ludzi miłujących zabytki świętej przeszłości naszej, weszła w życie 6 października 1879 r. z pamiętną chwilą darowania wspaniałego obrazu „Pochodnie Nerona” przez mistrza pędzla, Henryka Siemiradzkiego, na zapoczątkowanie tegoż muzeum. Ten kamień węgielny położył Siemiradzki podczas obchodu jubileuszu 50 letniej działalności J. I. Kraszewskiego w Sukiennicach, i na tem też miejscu stanął pomnik naszej kultury. Wkrótce, bo we wrześniu 1883 r., nastąpiło uroczyste otwarcie Muzeum Narodowego, na kierownika którego powołała rada muzealna na wniosek Matejki znakomitego znawcę sztuki, prof. Władysława Łuszczkiewicza. Narodowe Muzeum sztuki poczęło się rozwijać dzięki przedewszystkiem ofiarności artystów i małej subwencji miasta Krakowa, do-

bór jednak początkowo był mały i nie bezstronny. Przybyły tem niemniej poważne dzieła sztuki, jak poetów malarzy: Jacka Malczewskiego „Śmierć Ellenai” i W. Pruszkowskiego „Rusalki”, smętnego Maurycego Gotlieba „Ahasverus”, Aleksandra Kotsisa „portret własny”, Wojciecha Stattlera portret Dr. Soczyńskiego, Piusa Welońskiego „Gładyator” i Leopolskiego—portret Grocholskiego.

Wkrótce jednak rada muzealna spostrzegła, że na utworzenie samoistnego Muzeum Narodowego sztuki współczesnej, godnej kraju i kultury polskiej, ani dochodów ani miejsca niema, i że o należytych doborze wobec tego mowy być nie może, wobec czego pozwolono dyrektorowi oprócz dzieł współczesnych przyjmować i nabywać obrazy i rzeźby artystów dawniejszych. Wychodzono z zasady, że każdy z malarzy polskich winien być

w Muzeum reprezentowany. Zresztą i co do prac malarzy współczesnych musiało z początku samo przez się nastąpić pewne obniżenie wymagań, gdy rada zmuszona była nie wstrzymywać, ale zachęcać twórców, nie mając na razie dostatecznych zasobów pieniężnych. Pomimo to dzieło, rozwijające się głównie z ofiarności artystów przedewszystkiem a potem publiczności, rosło w oczach, napływało też bardzo wiele cennych dzieł sztuki, które do dziś dnia są ozdobą zbiorów. Tu wymienić należy Hansa Dürera, brata Alberta, „Św. Hieronim na puszczy”, poważny portret hr. Potockiej, dzieło Walerego Gadowskiego, świetne akwarele



WŁADYSŁAW ŁUSZCZKIEWICZ.

Juliusza Kossaka, przedstawiające już nie tylko same konie ale całe sceny współczesne, rodzajowe i historyczne, pełne życia i rozmachu, mistrzowskie akwarele Juliusza Fałata, wielka i wspaniała kompozycja Jana Matejki „Bitwa pod Raclawicami”, pełna werwy i życiem tętniąca czwórka Józefa



Chelmońskiego, poważnie traktowany portret dobrodzieja muzeum Osławskiego, pędzla Axentowicza, sceny naszego życia szlacheckiego Brandta „Spotkanie na moście”, genialny projekt na pomnik Mickiewicza Kurzawy, przedwcześnie zmarłego Pleszowskiego „Smutek”, Pruszkowskiego „Sielanka”, „Porwanie Sabinki” T. Wójtowicza, to znów z wcześniejszych W. K. Stattlera „Machabeusz”, obraz w swoim czasie witany radośnie jako alegoryczny, to Canowy rzeźba wykwiłtna, to poważny portret generała Dębińskiego pierwszorzędnego malarza-portrecyście Henryka Rodakowskiego, i wiele, wiele innych dzieł cennych. Nie zestawiamy ich umyślnie chronologicznie ani podług wartości, podając tylko mniej więcej tak, jak przybywały, bo na ocenę ich i ukłasyfikowanie jeszcze nie nadeszła pora; zbyt blizcy im jesteśmy podwójnie, byśmy bezstronny sąd

wydać mogli; zostawmy to późniejszym, którzy znajdą więcej materiału, gdy Muzeum Narodowe zestawi je w znaczniejszej liczbie.

Cofnięcie się wstecz do sztuki wcześniejszej i chęć zebrania jak największej ilości dzieł popchnęły radę w r. 1884 same przez się do rozszerzenia swego działania i na pole sztuki stosowanej, co było już nie do uniknięcia. Granice jednak zamknięto dla numizmatyki, książek i broszur, nawet do podręcznego użytku, jak również do archeologii w ścisłym znaczeniu, wykopalisk i ludoznawstwa. Brak miejsca i dochodów wstrzymywać musiał przewidującego dyrektora, słabo, powiedzmy nawiasem, wynagradzanego, dźwigającego cały ciężar odpowiedzialności nie tylko za całość, ale i jakość



WNĘTRZE MUZEUM. SALA ZABYTKÓW Z XVI I XVII W.

zbiorów na własnych barkach. Były to czasy, kiedy ten głęboki znawca i pionier sztuki osobiście zapisywał nadpływające przedmioty do zbiorów; później, kiedy ofiarność narodu zaczęła swoje nieraz wielkie zbiory wcielać do Muzeum, spracowany i na polu nauki dzielnie zasłużony starzec nie mógł podjąć temu ciężarowi, zmuszony więc był do wpiśnięcia nieraz po kilka tysięcy przedmiotów wartościowych pod jeden numer. Nie mogąc uzyskać większych funduszy od rady miasta, która ich nie miała, ani od publiczności, która poprzestawała na ofiarach w przedmiotach, nie idąc z pomocą finansową, szarpał się zasłużony pracownik 17 lat — aż do zgonu w r. 1900.

Za prof. Luszczkiewicza przybyły jeszcze ta-



kie znakomite i świetne zabytki jak Chrystus ukrzyżowany, własnoręczny model w drzewie Wita Stwosza do rzeźb w Kościele N. M. Panny, lub dwa anioły adorujące Najśw. Sakrament z czerwonego marmuru, niezawodnie prawdziwie cenne dzieło mistrza Jana Maryi Padovana. Również za niego przybyły dwa motywy ornamentacyi z Woli Justowskiej, dzieła niezawodnie Jana de Senis Ciniego, to znów z Biecza lichtarze drewniane z XV wieku. Na uwagę zasługują także dwaj rycerze, leżący niegdyś obok wielkiego ołtarza w kościele N. M. Panny w Krakowie, dzieła zapewne Wita Stwosza, to znów nieoszacowanej wartości romańskie kapitele z Jędrzejowa, fragmenty kwiatonów kamiennych Wita Stwosza, obicia purpurowe z herbami Bony Sforcii z katedry krakowskiej, namioty perskie i tureckie, obrazy z XV wieku z Korzenny i cały szereg zabytków, przypominających nam przeszłość.

Przedtem jednak oprócz zbiorów darowanych przez Wiktora Osławskiego, dyrektor sam skromnie uposażony, bo pobierający za tę olbrzymią pracę 600 zł. rocznie, zgodził się na układ z Ciążyńskim, który za 4000 zł. rocznie oddał do Muzeum cenny swój zbiór gemm i kamei. Interes był świetny, bo Ciążyński żył 4 lata, a cenny zbiór pozostał własnością Muzeum, a raczej gminy m. Krakowa, która sama ponosiła dotąd koszta na Muzeum, nie doznając znikąd pomocy. Gości, płacących wstęp do Muzeum, bywało mało, zatem i fundusze były w opłakanym stanie, a Muzeum stało się składem starożytności. W tak smutnym stanie odumarł je Łuszczkiewicz, pełen prawdziwych zasług wobec powstającej z niczego instytucyi, i tak zamknął chlubnie pierwszy rozdział pomnikowego dzieła.

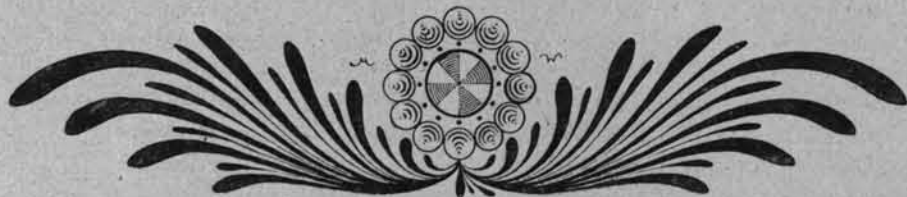
Początek drugiego rozdziału rozpoczął się szczęśliwiej, choć nie przestał być dramatem, a główną rolę w nim odgrywa powołany na lepszych trochę warunkach doktor, potem profesor, Feliks Kopera. Młody i energiczny wychowaniec Almae Matris i uniwersytetów zagranicznych, kształcił się pod kierunkiem znakomitych znawców sztuki i po wielkich podróżach naukowych po Niemczech, Włoszech, Szwajcaryi, Francyi, Turcyi i Rosyi zabrał się z zapalem do organizowania Muzeum na wzór europejskich zbiorów publicznych. Wszystkie zdobycze na polu urzędzeń i klasyfikacyi, ba! nawet doskonałe swoje ulepszenia powprowadzał z energią młodzieńca a rozważą dojrzałego znawcy. To musi przyznać

każdy zwiedzający Muzeum Narodowe od chwili objęcia dyrekcyi przez niego. Podziwiać też trzeba przytem siły pracownika, który oprócz muzeum w Sukiennicach prowadzi Muzeum imienia hr. Czapskich i dom Matejki. Po usunięciu się Towarzystwa sztuk pięknych, które poprzednio pól Sukiennic zajmowało, uzyskał dyrektor tę część od miasta, poczem bez wytchnienia zabrał się do konsekwentnego rozmieszczenia zbiorów. Rozdzielił je przede wszystkim chronologicznie, rozpoczynając od sali malarstwa i rzeźby współczesnej od r. 1850 do chwili bieżącej, na którą przybrał jeszcze jedną mniejszą salę; drugą salę większą, nie mogąc sobie z braku miejsca inaczej poradzić, rozdzielił parawanami. W tak rozłożonych przestrzeniach umieścił w pierwszej malarstwo, rzeźbę i przemysł artystyczny od początku XIX w. aż do 1850, w następnej przedmioty tego samego rodzaju z w. XVIII, dalej wiek XVII i XVI. W sali dalszej, mniejszej, stulecia XV, XIV, XIII i XII, a obok nich znów dla braku miejsca szkołę ruską. W salach pobocznych, idąc w ten sposób, po lewej ręce, salę pamiątek po sławnych ludziach (Adam Mickiewicz, Tadeusz Kościuszko, Juliusz Słowacki); dalej dla zwrócenia uwagi możnaby i należało jeszcze umieścić dział ludoznawczy. Po prawej stronie nawprost poprzednich zawiesił makaty i rozłożył wykopaliska przedhistoryczne, które zresztą musiał usunąć dla obrazów po znanym malarzu Stanisławskim.

Publiczność uznała zabiegi dzielnego dyrektora, widząc jak w oczach jej zmieniał się skład antykwarski na wzorowe i czyste, bez pajęczyn i pyłu, europejskie muzeum. Zmiany te odbywały się zresztą bez uszczerbku dla zwiedzających, bo pomimo przeróbek Muzeum było ciągle otwarte. Frekwencya gości i napływ darów zwiększały się szybko, a przedmiotów, zwłaszcza olbrzymich kolekcyi, przybyło tyle, że nie tylko wypełniły wszystkie sale przeznaczone na Muzeum, ale znaczna część musiała być usunięta, ażeby w innym a potrzebnym kierunku zwrócić uwagę na dział nowy, który powstawał. Składy zapełniły się tak, że musiano pomimowoli dotychczasowy swobodny i przejrzysty układ zacieśnić, co oczywiście w muzeach nie jest pożądane, i czego się dbały kierownik dopuszcza tylko w ostateczności. Ostateczność ta przyszła i pomimo przedstawian dotychczas złemu nie można było zapobiedz.

(D N.)

Stanisław Cercha.





Cerkwie drewniane w okolicach Lwowa. ¹⁾

W miesiącach letnich 1910 r. zwidziłem pie-
szo wszystkie prawie miejscowości powiatu lwow-
skiego, zbierając materiały do pracy, mającej objąć
zarys sztuki ludowej w najgłówniejszych jej obja-
wach i cechach lokalnych. Przedsięwzięcia tego
podjąłem się bez żadnego z góry urobionego po-
glądu, zwracając jedynie uwagę na rzeczy isto-
tnie ciekawe i mogące mieć jakąkolwiek wartość —
dla ogólnie nakreślonego przezemnie zamiaru,
zebrania jak najliczniejszych wiadomości do po-
szczególnych działów sztuki ludowej. W myśl
więc podobnego programu nie przeoczałem jednych
rzeczy na korzyść drugich, pozornie więcej cieka-
wych i bardziej wpadających w oczy, lecz równo-
miernie traktowałem tak jedne jak i drugie.
W rezultacie jednak — po zbadaniu liczniejszych
miejscowości — musiałem przyjąć za udowodniony
coraz uporczywiej nasuwający się fakt niezmiernego
ubóstwa zabytków i okazów sztuki na zwie-
dzanym terytorium, którego jedyną wybitniejszą
właściwością są prawie same tylko domy boże —
powabne swą prostotą cerkwie drewniane. Na-
próżno szukać tu pięknych siedzib dworskich,
okazalszych zabytków figuralnych, pokaźniejszych
kapliczek lub krzyżów przydrożnych, obficie zdo-
bionych chat lub ładniejszych urządzeń mieszkal-
nych. Zaszczyt posiadania w najbliższym swem
sąsiedztwie sławnego od wieków i wielkiego mia-
sta, jakim był i jest obecnie Lwów — stolica
kraju, opłacać musiały okoliczne wsie i miasteczka
częstokroć bardzo dotkliwym haraczem w postaci
pożogą i spustoszeniem trawionych osad całych,
nawiedzanych aż nadto często przez najrozmaitsze
hordy nieprzyjacielskie. Przed zadziwiającą ich
zdolnością niszczenia wszystkiego dokoła siebie,
nie mogło się nic ostać nienaruszone, a gdyby
nawet przypadkiem przytulona do pustych skał
cerkiew drewniana lub w lasach ukryty dworek
uniknął w jakiś sposób bliższego zapoznania się
z ich zaciekłością, to z następną wiosną przyszło-
by im z pewnością spojrzeć w oczy srogiego ta-
tarzyna czy turka i bez wątplenia przyplacić to
swem istnieniem.

Wieczne niemal pogotowie wojenne i zrozu-
miała w takich warunkach niechęć do tworzenia
czegoś wspanialszego, a zatem kosztowniejszego,
musiały pozostawić ślady w twórczości osiadłego
tu ludu, któremu ledwie że wiek dziewiętnasty
przyniósł jakieś większe bezpieczeństwo, gwaran-
tując zarazem ochronę własności osobistej i pu-
blicznej. Z ustaniem napadów nieprzyjacielskich
nastąpiły wreszcie od wieków nieznanne czasy spo-
koju i stopniowego rozwoju dobrobytu ludności,

dla której jednak sąsiedztwo wielkiego miasta
zawsze pozostać musiało podejrzaną wartością da-
rem Danaów. Kiedy już bowiem rolnik mógł spo-
kojnie uprawiać swą skibę, to nowy wróg, ro-
dem również z odległych krajów, począł zagrażać
jego istnieniu, wkradając się wszędzie podstępnie
i tak chytrze, iż najczęściej z otwartymi rękami
bywał przyjmowany przez poczciwców, nie prze-
czuwających w nim nawet nieprzyjaciela. Szablon
fabryczny, przygotowany w mieście poniekąd już
przez dawnych rzemieślników cechowych, a roz-
wielmożniony od czasu powstawania coraz liczniej-
szych zakładów, kotłujących się od roju zasmolo-
nych dymem i sadzą pracowników, bardzo prędko
podbić potrafił piermotny przemysł i twórczość
ludową, które przytłaczać począł coraz cięższą ręką,
zbrojną w węgiel i parę. Napady nieprzyja-
ciół wyniszczyły wszystko prawie, na co wieki się
składały, a przemysł fabryczny dalej pracuje nad
dziełem zniszczenia, tępiąc, cokolwiek jeszcze zdawna
pozostało lub w jakiś niepojęty sposób marną
swą egzystencję kontynuować zdołało.

Dwie powyższe przyczyny główne złożyły się
bezsprzecznie na obraz, jaki przedstawia dzisiaj
artystyczna twórczość ludności wiejskiej okolic
Lwowa. Stan tej twórczości określić można w kil-
ku słowach: zabytków zachowało się bardzo nie-
wiele i to wcale nie najciekawszych, a z okazów
nowsze pochodzenia niezmiernie mało tylko wy-
różnia się czemś istotnie godnym uwagi. Nie mam
jednak zamiaru twierdzić, iżby rodzima sztuka lu-
dowa w okolicach Lwowa wcale nie istniała lub
ograniczała się jedynie do niepokaźnych rozmiarów,
konstatuję tylko przedewszystkiem, iż znaj-
duje się ona zbyt wyraźnie pod wpływem miasta,
co oczywiście nie może chyba sprzyjać jej oryginal-
nemu rozwojowi, zagłuszanemu przez marny
wyroby fabryczne, do tego obce a nie swojskie.

W czasie wycieczek swoich po powiecie lwow-
skim natrafiłem niejednokrotnie na ciekawsze oka-
zy artystycznej twórczości ludowej, o których o-
sobno przy sposobności pomówię, ale najwięcej
danych udało mi się zgromadzić co do cerkwi i
dzwonnicy drewnianych jako najciekawszych i je-
dynych poniekąd najstarszych zabytków sztuki
ludowej zwiedzanych okolic. One same i zawar-
tość ich wewnętrzna, oto najgłówniejsze zabytki
artyzmu ludności wiejskiej, godne z wielu wzglę-
dów bliższego zapoznania się z nimi. Odkładając
więc na razie omówienie zebranego materiału, nie
związanego z budownictwem i sztuką cerkiewną,
spróbuję zdać sprawę tym razem ze spostrzeżeń,
poczynionych jedynie nad cerkwiami i dzwonnicy-



cami drewnianymi w miejscowościach przeważnie powiatu lwowskiego i w kilku, nie należących do niego, jednak położonych w promieniu dwóch do trzech mil od miasta; szczegól ten podają zawsze w odpowiednim miejscu dla uniknięcia nieporozumienia i dla ułatwienia odszukania danej miejscowości na mapie.

Badania drzewnego budownictwa cerkiewnego, mimo dość nawet licznych już prac i rozpraw na ten temat, stoją na bardzo pierwotnym stopniu naukowości, przedstawiając na razie jedynie prawie wartość lichu obrobionego materiału opisowego i rysunkowego. Najdzielniejsze nawet jednostki nie zdołały popchnąć sprawy na lepszą drogę, pracując bez ustalonego systemu i bez zwracania uwagi na ostateczny cel podobnych badań. Bez rozpatrzenia kwestyi uprzednich, przygotowawczych, usiłowali rozmaici autorzy na podstawie bardzo nielicznego jeszcze materiału rozstrzygnąć rozmaite zagadnienia z dziejów architektury cerkwi drewnianych, siłąc się na mniej lub więcej usprawiedliwione stanem faktycznym klasyfikacje poszczególnych typów. Klasyfikacje te miały oczywiście na celu zaprowadzenie pewnej orientacyi w bogatych nadzwyczaj typach cerkwi drewnianych, ażeby w ten sposób dojść ostatecznie do rozwiązania sprawy pochodzenia i rozwoju budownictwa drewnianego. Nie wdając się obszerniej w krytykę dotychczasowej metody badań drewnianych cerkwi i dzwonnicy i nie próbując na tem miejscu konstruowania racjonalnego—zdanem mojem—systemu (o którym na innem miejscu dokładniej i wyczerpująco pomówię), zwrócę jedynie uwagę czytelników na brak uwzględniania szczegółów architektury drzewnej pod względem chronologicznym i terytoryalnym.

Zbadanie cerkwi drewnianych, sięgających lat najdawniejszych, według ich chronologicznego pochodzenia rzucić może najwięcej światła na kwestyę ich genetycznego i ewolucyjnego rozwoju historycznego, jak dotychczas nie ustalonego jeszcze przez żadnego uczonego. Ustalenie zaś rozmieszczenia terytoryalnego poszczególnych typów i odmian z równoczesnym uwzględnieniem chronologicznego ich następstwa w rozmaitych częściach kraju wyjaśnić będzie mogło kwestyę zachodzącego między nimi stosunku wzajemnego tak w stanie ich dzisiejszym, jak i kilkaset lat temu.

Dwa te powyższe względy pomijane były całkowicie przez dotychczasowych badaczy drze-

wnego budownictwa cerkiewnego, i w tem właśnie upatrywać należy przyczynę, iż stanowi ono i nadal kwestyę otwartą, oczekującą rozwiązania. Nie siłąc się więc na jakieś daleko sięgające uogólniania, przedstawiam w pracy niniejszej zebrany przezemnie w okolicach Lwowa jedynie materiał faktyczny, oświetlony z punktu chronologicznego i po części terytoryalnego, o ile skutecznie się to dało na tak niewielkiej przestrzeni, jaką jest zbadany powiat.

Najstarsze cerkwie drewniane w okolicach Lwowa, sięgające wieku XVII a znane z trzech miejscowości: Zniesienia, Krzywczyca i Łoziny, należą już do przeszłości, ponieważ przeszkadzały wrażliwym na estetykę miłośnikom sztuki kościelnej, co szcudrobliwie zastąpili je „wspaniałymi murowanymi gmachami”, na widok jakich trudno uwolnić się z mimowoli opadającego człowieka uczucia wstępu, a co najmniej niezadowolenia. Trzy te najstarsze cerkwie padły po kolei jedna za drugą ofiarą jakiejś niepojętej wprost manii niszczenia i burzenia, przybierającej zwłaszcza w ostatnich czasach zatrzważające rozmiary. Pierwszą ustąpić musiała miejsca nowemu gościowi cerkiew w podmiejskiej wsi Krzywczycach, gdzie około 1870 r. zbudowano nowy murowany dom Boży. Jak wyglądała dawniejsza, zburzona cerkiew drewniana nie wiemy już dzisiaj, ponieważ nie zachował się żaden jej rysunek lub fotografia. O roku zbudowania jej dowiadujemy się z kronikarskiego zapisku na cerkiewnej księdze (Trefologion), przechowanej w cerkwi na Zniesieniu; z zapisku tego wynika, iż „cerkiew św. proroka Ilji Thezwytianyna we wsi Krzywczycach, majątności dziedzicznej jaśnie przewielebnego jegomości o. Józefa Szumlańskiego, biskupa lwowskiego, halickiego i Kamiénca Podolskiego etc., kosztem tegoż własnym i staraniem zbudowana i przez samego jegomością poświęcona została 20 lipca 1698 r.”¹⁾ Tyle tylko zachowało się o niej wiadomości, nie wystarczających wcale dla dokładniejszego jej opisanie. Ząb czasu oszczędził ją jakimś trafem, ale nie dane jej było widocznie uniknąć niszczącej ręki człowieka, której ofiarą padła również (1901 r.) starsza jeszcze od niej cerkiew w sąsiedniej wsi Zniesieniu.

(CDN)

B. Janusz.

¹⁾ A. Petruszewycz Swodnaja hal.-ruska litopyś s 1600—1700 hod. Lwów 1874, sub anno 1698.





Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



† Dnia 27 z. m. w lokalu Tow. odbyło się zebranie przyrodników warszawskich, zaproszonych przez Zarząd główny w celu utworzenia organizacji naukowej, mającej na celu prowadzenie badań fizyograficznych

w Kraju. Przedstawiony przez prezesa K. Kulwiecia regulamin „Komisyi Fizyograficznej” został przyjęty. Główne zasady regulaminu tego ujęte zostały w następujące paragrafy:

Komisyja ma na celu:

a) Gromadzenie i opracowanie materiałów naukowych z zakresu fizyografii krajowej, a mianowicie—z florystyki, faunistyki, geologii, antropologii, etnografii, archeologii i meteorologii.

b) Podejmowanie wydawnictw naukowych z zakresu fizyografii.

c) Czuwanie nad naukowym kierunkiem gromadzenia zbiorów krajoznawczych przez oddziały powincjonalne Towarzystwa.

Komisyja ma rozporządzać następującymi środkami:

a) funduszem, przeznaczanym corocznie na badania naukowe przez Zebranie Ogólne Towarzystwa;

b) wpływami nadzwyczajnymi, specjalnie na badania naukowe przeznaczonymi (ofiary i zapomogi prywatne i społeczne).

Do Zarządu prowizorycznego Komisyi powołani zostali: K. Kulwiec, J. Lewiński, L. Krzywicki, S. Lenczewicz i K. Stolyhwo.

Nowoutworzonej Komisyi Fizyograficznej z chwilą rozpoczęcia czynności przekazane będą akta i sprawy następujących dotychczasowych wydziałów: Komisyi ochrony osobliwości przyrody, Komisyi etnograficznej i Wydziału meteorologicznego.

Komitet wydawnictwa dzieł W. Nałkowskiego przystąpił do druku pracy „Polska, jako indywidualność geograficzna,” wydając ją jednocześnie w języku francuskim w jednym z pism naukowych geograficznych w celu udostępnienia tej ciekawej pracy uczonym europejskim.

Ze zbiorów zmarłego prezesa Tow. Krajozn. Z. Glogera ofiarowanych Towarzystwu, zostały w ubiegłym tygodniu wysłane z Jeżewa (majątek Glogerów w Łomżyńskim) do wszystkich tych oddziałów Towarzystwa, które posiadają zbiory krajoznawcze, okazy żaren przedhistorycznych. Cenne te przedmioty stanowiąc będą pożądanym nabytkiem naszych muzeów prowincjonalnych i drogą pamiątkę po zmarłym prezesie Towarzystwa. Wysłany na miejsce delegat Zarządu Głównego, p. A. Chętnik, przed wyeksperymentowaniem żaren do oddziału dokonał zdjęć fotograficznych z całości tej bogatej kolekcji.

Nakładem Towarzystwa wyszła z druku praca ks. kanonika Ant. Pleszczyńskiego z Maciejowic p. t. „Opis historyczno-statystyczny Parafii Międzyrzeckiej”.

Członek Towarzystwa, p. Edward Barbier, korzystając z urlopu miesięcznego, udał się do Prus Wschodnich na wycieczkę krajoznawczą i zaledwie zdołał dotrzeć do Elku, gdzie dokonał zdjęć fotograficznych dla naszego pisma, został przez prusaków aresztowany i osadzony w więzieniu. Zarząd Towarzystwa zwrócił się za pośrednictwem d-ra Chłapowskiego do posłów polskich z Poznania o zajęcie się sprawą uwolnienia p. Barbiera, niestety widocznie o szpiegostwo podejrzanego.

Wycieczka z Warszawy do Pułtuska odbyła się w dniu 17 września r. b. 59 osób wyjechało rano ze st. Most do Jabłonny, gdzie czekały już zamówione omnibusy. Szybko przeszła daleka droga kołowa przez Serock; w Pułtusku oczekiwali wycieczki członkowie Pułtuskiego oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej, oraz obywatelka z sąsiedztwa, p. Kisielnicka. Wycieczka zasiadła do obiadu w restauracji p. Szpadrowskiej, a po posiłku udała się na zwiedzenie miasta. Zwiedzono ratusz, b. zamek biskupi, lokal Oddziału Tow. Kultury, Kolegiatę, Kościół benedyktyński i basztę ze starych murów miasta. Zwiedzanie odbyło się szybko, gdyż znów czekała droga powrotna. Na godzinę 10 stanęły omnibusy z powrotem w Jabłonie, a przed jedenastą zakończyła się wycieczka na st. Most. Pogoda dopisała dobra, wycieczka odbyła się pomyślnie, kołami przejechano 12 mil. Przewodnikiem był p. Al. Janowski.

Wycieczka na Księstwo Łowickie miała na celu poznanie wsi księżackiej. Wyjazd z Warszawy odbył się o 9 rano do st. Jackowic drogi Bydgoskiej. W Łowiczu przyłączyli się członkowie Oddziału Łowickiego z p. Diehlem i d-rówą Chmielińską na czele. W Jackowicach złożono rzeczy w mieszkaniu gościnnego gospodarza, p. Wacława Makowskiego, i udano się do kościoła w Zdunach. Po skończonym nabożeństwie zapoznawano się z wychodzącym z kościoła ludem, a następnie odbył się ciekawy przegląd straży ogniowej włościańskiej, której naczelnik, p. Minich, poprowadził ciekawe ćwiczenia z bosakami, obsługą sikawki i marszami. Sprawną straż zyskała sobie grzmiące oklaski uczestników wycieczki. Po przeglądzie straży udano się do kościoła, gdzie proboszcz miejscowy, ks. Mierzejewski, bardzo uprzejmie oprowadził gości, pokazując sam kościół i kaplicę, gdzie wszystko jest fundacji miejscowych włościan, parafia bowiem zamożnej inteligencji nie posiada.

Podziękowawszy ks. proboszczowi za oprowadzenie, wycieczka wróciła na stację, gdzie p. Makowski, posiadający w swoim kawalerskim mieszkaniu 3 szklanek, potrafił zorganizować herbatę na 130 osób. Po herbatce ruszyła wycieczka do sąsiedniej wsi Jackowic do zagrody włościanina Kowalczyka, gdzie uprzejmi gospodarze przy pomocy uroczej córki Kasi i dzielnych synów Wojciecha i Szymona przyjmowali wycieczkę w swym sadzie, a następnie w chacie. Witają też wycieczkę muzyka wiejska, a że dzień był piękny, młodzieży dużo, więc się i zaczęły ochocze tany. Tańce te przeplatano śpiewem i wierszami, a najdzielniej się sprawiała w śpiewie młódź miejscowa, gdzie tęgie i wesołe parobczaki swym zgodnym chórem i doborem pieśni sprawili miłą niespodziankę i gorące zebrali oklaski. Na polach



za wsią miał być puszczony balon, który naturalnie spłonął, nim się uniósł w górę. W oświetleniu ogni bengalskich ruszyła zachwycona wycieczka z powrotem. Orkiestra odprowadziła ją do granic wsi, żegnano się z ludem serdecznie, zapraszając wycieczkę księżacką do Warszawy. O 12 w nocy powrócono do Warszawy, wynosząc z wycieczki jak najmiłsze wrażenia. Przewodnikiem był p. Al. Janowski.



NA ZAWORACH

fol. T. Koszutski.

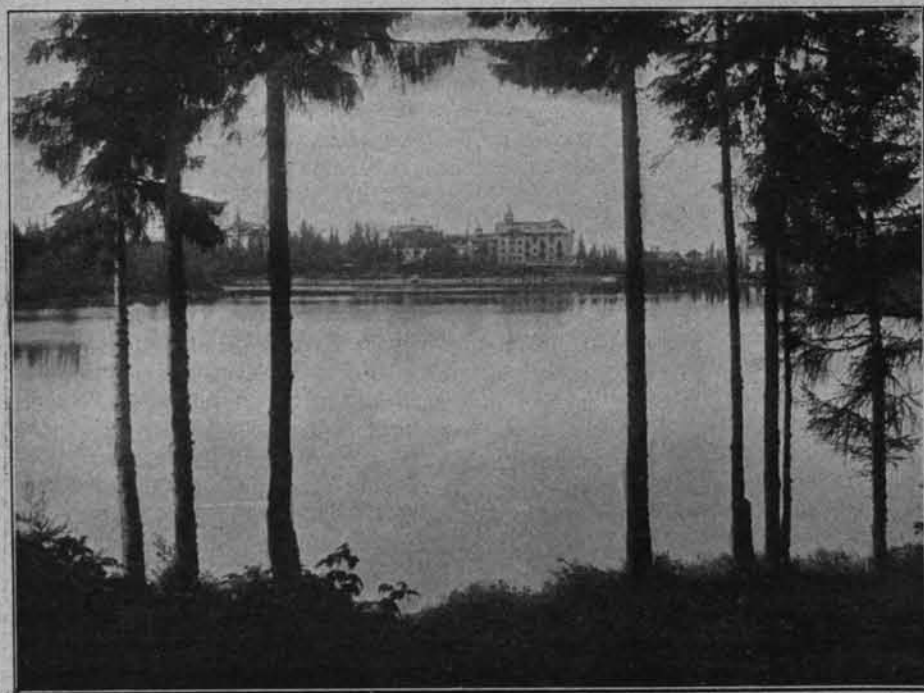
Z wycieczki Krakowskiego Akademickiego Związku Sportowego.

Do rozwoju turystyki w Tatrach niezmiernie przyczyniły się od paru lat Krakowski Akademicki związek sportowy i Lwowski Akademicki klub turystyczny, które pod wodzą członków swoich, posiadających dokładną znajomość gór, urządzają najrozmaitsze wycieczki wspólne, krótsze i dłuższe, za małą opłatą.

Jedną z najliczniejszych była czterodniowa, złożona z 20 osób, urządzona przez Krakowski związek

pod wodzą p. Wacława Majewskiego. Właściwy punkt zborny wyznaczony został na Hali Gąsienicowej we wtorek dn. 22 sierpnia rano, skąd rażno i wesoło ruszono gromadkami przez Liliową przełęcz, po zboczach Walentkowej na Zawory. Chętnie spożyty posiłek w malowniczym otoczeniu, a następnie uroki ścieżek w dziewiczych dolinach Ciemno-Smreczyńskiej i Koprowej przez zwały murszejących drzew, bujna roślinność, szumiące na niebotycznych

zbożach wodospady, oto warunki wśród których zapomniano się o długości drogi, stając wieczorem w dolinie Niewcyrki na jej pierwszym piętrze. Przy szalasię znalazło się niespodziewanie aż 26 osób, więc część, t. j. 15 z trudem pomieściła się pod dachem, a reszta bezdomna zapaliła wśród drzew ogień, tak zwaną „watę”, i spoczęła na naciętej kosodrzewinie w promieniu nogami do ognia, który podsycono na zmianę przez noc całą dla ochrony od zimy i niedźwiedzi, jest to bowiem okolica, w której napisy ostrzegają przed zboczeniem z ścieżek dla uniknięcia porostawianych oklepcy na tego zwierza. Ranna



JEZIORO SZCZYRBSKIE

fol. T. Koszutski.



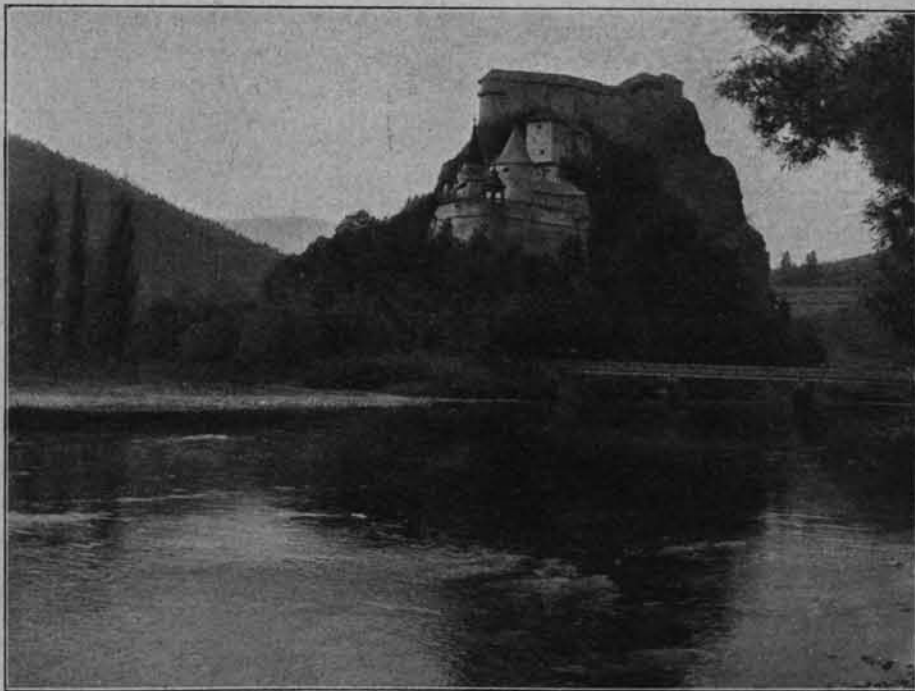
Fot. T. Koszutski

chłodna kąpiel orzeźwiła należycie turystów i z dobrymi humorami, minawszy żleb Szkaradny, przeszła wycieczka wprost potworne zwały drzew poprzewracanych wicherami, śniegiem lub własną starością; patrząc na nie nabierało się przekonania, że najdziksze nasze zwierzęta, jak riedźwiedź, ryś, żbik tu ojczyzną swą mieć mogą. Już na stokach Krywania rozpoczęła się kraina rzadko gdzieindziej spotykanej ślicznej limby, której tu spotkać można całe lasy, rozsiewające przemiły i zdrowy zapach wokoło. Po krótkim wypoczynku na kopie, poprowadziła starannie przygotowana szeroka ścieżka zakosami wyżej, dochodząc później granią z coraz więcej stromymi ścianami Niewcyrki, do rozległego widoku ze szczytu Krywania. Zaznaczyć tu należy z wdzięcznością troskliwość i cierpliwość prowadzących pp. Majewskiego i Rutki, którzy zachętą i pomocą nawet najslabszych na szczyt doprowadzić potrafili. W tym miejscu jednak zaczął się dramat, gdyż mało było przezornych, którzy zaopatrzywszy się niżej w wodę, przeciężyli dotąd pragnienie i mieli z czego przygotować rosół lub herbatę; kto nie miał, napawał się widokiem na sucho. Po 2 godzinach kilku

silniejszych ruszyło naprzód dla zamówienia noclegów przy Szczyrbskim jeziorze, reszta po chwili podążyła wolniej za nimi, racząc się pierwszą napotkaną wodą z nieopisaną rozkoszą. Przy dalszem schodzeniu napotkano na ślady dawnych poszukiwań złota w kwarcu Krywania, no i naturalnie zabrano kilka odłamków, mających zawierać żyłki cennego kruszczu. Gdyby to było pod górę, znalazłyby się one z powrotem na miejscu swego pochodzenia, ale obecnie przy łatwym zejściu poszły w różne strony świata. Wesoło doszła gromadka do Szczyrbskiego jeziora, a znalazłszy wygodniejszy nocleg niż przedtem na kosodrzewinie, zasnęła smacznie po spożytym posiłku. Nazajutrz późno, bo dopiero około 9 wyruszyła część uczestników w ilości 11 przez dolinę Furkotną obok

WIDOK Z KRYWANIA.

lodem pokrytego górnego stawu Wahlenberga przez przełęcz Furkotną na jego dziki szczyt, skąd z dumą patrzyło się poprzez unoszące się lekkie chmurki na stromy szczyt pokonanego wczoraj olbrzymia Krywania. Bardzo interesującą granią zwiedzono dalej szczyt Hrubego i napawano się nadzwyczaj pięknymi efektami chmur, lecz dekoracja owa zaczęła się skupiać coraz mocniej i pod groźbą ulewy przy wczesnie zapadającym zmroku prawie biegiem trzeba było przebyć ostatnią część drogi przez dolinę Młynicy z powrotem



Fot. T. Koszutski.

ZAMKI ORAWSKIE.



do Szczyrbskiego Jeziora. Nazajutrz rano już o 7 ruszono w drogę do Popradzkiego jeziora na śniadanie i tu przyłączyła się reszta turystów naszych, którzy, dnia wczorajszego użyli na na reparację nadwątłych butów i... sił, a przywieźli jednocześnie nowinę szczęśliwego wybawienia pary turystów wygłodzonych przez 38-godzinne błądzenie na Szatanie. Chmury zasłoniły widnokrąg, nie wróżąc pogody, mimo to wycieczka ruszyła doliną Mięgoszowiecką bardzo wygodną drogą, choć lekki deszczyk rosił czoła i plecaki. Przy ostatniej wodzie zrobiono odpoczynek, a na poblizkiem polu śniegowym udawały się niby zimowe zjazdy i zdjęcia fotograficzne. Już przełęcz Wagi i tuż za nią szczyt Rysów, lecz widoki miernie tylko piękne, bo jak powiada napotkany tam przewodnik, „z jednej strony odetka, to z drugiej zatka”..

Dwie godziny starczyły aż nadto na posiłek i nastąpiła chwila pożegnania, bo część wycieczkowiczów, 11 osób, schodziła do Morskiego Oka i wracała furkami do Zakopanego, a reszta, 7 osób, do Szczyrbskiego jeziora, aby koleją pojechać do Zamków Orawskich. Projekty i jednej i drugiej partyi udały się znakomicie, a wszyscy wprost z rozrzwinięciem wspominają chwilę pożegnania na Rysach, kiedy wspólna pieśń silniejszym tętnem krew poruszyła, a jeżeli ją turnie powtarzają, jak to twierdzą starzy górale, to jeszcze dotąd nie zgięła.

T. Koszutski.

□□□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

Jak wykazuje p. Emil Caspari w pracy swej, zamieszczonej w ostatnim zeszycie „*Ekonomisty*”, w piętnastu powiatach polskich Śląska Górnego istnieje wszystkiego 258 wielkich właścicieli ziemskich, i ta garstka ma w swem władaniu przeszło połowę całego polskiego Śląska Górnego, bo 55,68 proc.. W liczbach stanowi to 590,641 hektarów. Od tych 285 ludzi zależne są gospodarczo liczne rzesze polskich robotników rolnych.

Rozkład tej grupy na kategorie bardziej wyspecjalizowane tem jaskrawiej przedstawi nam te stosunki, niebywale dziś na zachodzie. Oto 176 właścicieli, mających ziemi od 100 do 1,000 hektarów, skupiło jej 73 tysiące hek., 75 właścicieli większych 517 tysięcy hek., a siedmiu największych ma 230 tysięcy hek. A więc tych siedmiu najlepiej uprzywilejowanych na ziemi śląskiej ma cztery razy więcej, aniżeli 75 ziemian z pierwszej kategorii.

Oto statystyka, jaką podaje p. Caspari:

- | | |
|-------------------------------|-------------|
| 1. Skarb pruski ma ziemi | 96,919 hek. |
| 2. Książę Hohenlohe-Oehringen | 42,001 |

- | | |
|---------------------------------|--------|
| 3. Książę na Pszczynie | 40,437 |
| 4. Książę na Raciborzu | 33,394 |
| 5. Książę Stolberg-Wernigerode | 26,517 |
| 6. Książę Hohenlohe-Ingelfingen | 25,486 |
| 7. Książę Henckel-Donersmarck | 21,942 |

Zajrzał p. Caspari do wykazu najbogatszych ludzi w Niemczech i przekonał się, że z dziesięciu osób, stojących na czele tej listy, tylko trzy nie posiada dóbr ziemskich na Górnym Śląsku, (mianowicie pani Berta Krupp von Bohlen, Rotszyl'd i Henschel).

Tych siedmiu właścicieli posiada razem 27 proc. kraju. Co się tyczy całej grupy 258, to znajduje p. Caspari w niej 120 rodów szlacheckich i magnackich. W tem dwóch królów (saski i wirtemberski), 7 książąt, 32 hrabiów, 16 baronów i 62 nieutytułowanych szlachciców. Do nich należy blisko połowa ziemi Górnego Śląska, 137 właścicieli pochodzenia nieszlacheckiego ma ziemi tylko 73 tys. hek. razem.

To skupienie tych dóbr w rękach nielicznych jednostek powstało ze starodawnych majątności Piastowiczów śląskich, które nie były tak silnie w tych okolicach rozdrobione i uszczuplone przez darowizny na rzecz kościoła i przez osadzanie kolonistów. Zresztą podział ziemi oparł się w naturalny sposób o lasy górnośląskie. W ziemiach klasztornych przytem wyjątkowo tylko rozwinęło się tu silne chłopstwo niemieckie, bo większa część dóbr klasztornych wcale nie była kolonizowana, a część znaczna rozkolonizowanej poszła w ręce chłopca polskiego. Kiedy nastąpiła konfiskata tych ziem klasztornych, zasiliły one przeważnie własność wielką. Zresztą skarb nie śpieszył się bardzo z pozbyciem się ziemi zagrabionej i powoli ją sprzedawał. Dzisiejsze Księstwo Raciborskie jest tworem niedawnym i powstało przeważnie z połączenia dóbr klasztornych.

Jeszcze jeden czynnik powiększał tu własność wielką, to licznie potworzone majoraty, które poczęły się zaokrąglać często przez wykupywanie ziemi sąsiednich kolonistów.

Te majoraty grają dziś wielką rolę konserwacyjną na Górnym Śląsku. Usuwają one z możliwego rynku 43,7 proc. własności wielkiej. Jest tych majoratów 39, mających 258 tysięcy hektarów obszaru. Zakładano je, począwszy od roku 1642 bez większych przerw aż do roku 1866. Najstarszy majorat jest to Głogówek hrabiów Oppersdorffów (obecny ordynat jest ożeniony z księżniczką Radziwiłłówną). Powstał on w ten sposób, że baron Jerzy I. Oppersdorf, namiestnik Śląska, nabył klucz Głogówek od cesarza austriackiego Rudolfa II, a jego wnuk ufundował z klucza tego majorat, obejmujący obecnie 4,981 hekt.

TREŚĆ: K. Kulwiec.—Roślina w krajobrazie. G. Smólski.—Z podróży na Pomorze (z 5 ryc.). Stanisław Cercha.—Zbiory polskie. II. Muzeum Narodowe w Krakowie, (z 3 ryc.); B. Janusz.—Cerkwie drewniane w okolicach Lwowa. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.—T Koszutski.—Z wycieczki Krakowskiego Akademickiego związku sportowego (z 4 ryc.).—Kronika krajoznawcza.

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i tamal Edward Gzlik.—Odbijał na maszynie Władysław Kaczorowski.—Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i 8-kl.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec